355

1

Stanisław Seroka

Kostrzyn n. Odrą, 2001-08-01

[redacted]

Komitet dla Upamiętnienia Polaków Ratujących Żydów

w Warszawie

W związku z apelem prof. dra hab. Tomasza Strzembosza, zamieszczonym w Rzeczpospolitej z dnia 28. czerwca br., przedstawiam poniżej historię państwa Balińskich ze wsi Ulaski w (przedwojennej) gminie Obryte pow. Pułtusk. Historię tę kilkakrotnie opowiadała mi moja matka, Magdalena Seroka, ur. w 1925 r. we wsi Obryte, obecnie zam.: Trzebień [redacted].

Państwo Balińscy (matka nie znała ich z imienienia), mieszkający na skraju wsi Ulaski, w pierwszych z brzegu zabudowaniach po drodze z Obrytego do Sokołowa, zaopiekowali się Żydówką z kilkuletnią dziewczynką, prawdopodobnie córką, które trafiły do nich skrajnie wynędzniałe, zawszone, głodne. Bieda przybyszów musiała być przejmująca, skoro pani Balińska po chrześciańsku podzieliła się z nieznajomą swoimi koszulami, a dla małej - kobiety wspólnie uszyły coś naprędce ze starej garderoby gospodyni. Pan Baliński dla ukrywających się uszykował zmyślny schowek w sąsieku stodoły, w którym przebywały za dnia. W nocy, poruszając się po obejściu, zażywały potrzebnego ruchu na świeżym powietrzu. Bezdzietni Balińscy szybko przywiązali się do małej, która odżywiona i odziana, a przede wszystkim - poczuwszy się bezpiecznie, okazała się dzieckiem rozgarniętym i miłym. Po jakimś czasie dziewczynka nie była już dłużej w stanie usiedzieć całymi dniami w schowku, potrzebowała światła, i zaczęła wychodzić na podwórze za dnia. Przy dobrej pogodzie najchętniej przebywała na podwórku, bawiąc się po swojemu. Jak to dziecko. Ponieważ Balińscy mieszkali na skraju wsi, a i do najblizszych sąsiadów mieli widać zaufanie, nie robili z tego powodu problemów. Na swój sposób cieszył ich widok małej, oddającej się beztroskiej zabawie.

Feralnego dnia, drogą obok zabudowań Balińskich przejeżdżał komentant niemieckiej żandarmerii z „obstawą", z posterunku w Obrytem do ówczesnego sołtysa w Sokołowie, niejakiego R., na tradycyjną, okresowo powtarzaną libację alkoholową.

Najprawdopodobniej, dziecko zapamiętale bawiące się na podwórku, zaskoczone podczas zabawy nagle zjawiającym się zagrożeniem, przestraszone, w odruchu wpojonym przez dorosłych rzuciło się do panicznej ucieczki, ale na nieszczęście dla wszystkich - nie do domu, ale do kryjówki w stodole.

Ten nietypowy dla chłopskiego dzieciaka odruch nie uszedł uwadze żandarmów. Zatrzymali się. Wpadli na podwórze. Wywlekli przed dom przerażonych gospodarzy. Na ostre pytania, kogo ukrywają w stodole, mimo brutalnych razów masakrujących ich twarze, powalających na ziemię ciosów kolbami w podbrzusze i kopniaków zmuszających do zajęcia znów postawy wyprostowanej, odpowiadali uparcie, że nikogo, że nie wiedzą o kogo chodzi.

Nie uzyskawszy od zbitych do utraty przytomności ofiar zadowalającego wyjaśnienia, żandarmi skierowali się do stodoły. Drąc się na całe gardło i strzelając na postrach, nakazali wyjść ukrywającym się. Bez skutku. Zagrozili zatem spaleniem stodoły i zastrzeleniem każdego próbującego ujść z ognia, kto nie wyjdzie dobrowolnie. Po dłuższej chwili i kilkakrotnym powtórzeniu groźby kobieta z dziewczynką wyszły w milczeniu ze swojej kryjówki przed stodołę. Strzałami z najbliższej odległości zabito je, nie stawiając zbędnych pytań. Oniemiałych z bólu i przerażenia małżonków Balińskich zabrano z ich podwórza w czym stali, i wywieziono w nieznanym kierunku. Nigdy do nikogo nie dotarła od nich żadna wiadomość, żaden ślad życia. Ich zabudowania komentant nakazał rozebrać i

przewieźć na posterunek na opał, drzewa i krzewy owocowe – wykarczować i spalić, kamienną podmurówkę spod budynków – rozebrać i użyć do brukownia okolicznych dróg. Samo zaś tak ogołocone siedlisko okoliczni chłopi w trybie szarwarku musieli zaorać i żbronować aż do „czystego pola", żeby nie pozostał przysłowiowy „kamień na kamieniu", żaden ślad po ludziach, którzy ukrywali Żydów. Ku przestrodze innym, żeby pamiętali, czym się może skończyć pomoc Żydom.

Tę przerażającą historię opowiedziała mojej matce siostra Balińskiej, niejaka Białoszewska, żona bezrolnego parobka służącego u organisty w Obrytem. Balińska, choć sama niebogata, była jednak na swoim i wspierała biedniejszą od siebie siostrę z Obrytego. Nic dziwnego zatem, że Białoszewska odwiedzała Balińskich dość często, a po ich wywózce utraciła nie tylko bliską rodzinę, ale i znaczące dla niej wsparcie materialne. Od czasu do czasu, najczęściej w niedziele chodziła na miejsce, na którym żyli kiedyś Balińscy, aby tam opłakiwać ich los i pomodlić się za nich. Jednego niedzielnego popołudnia, wracając zapłakana z Ulasek, zagadnięta przez pasącą gęsi moją (przyszłą) mamę o powód jej rozpaczy, opowiedziała jej przez łzy tę straszną historię.

Osobiście jestem poruszony tragiczną historią państwa Balińskich od dawna, od pierwszego jej zasłyszenia jeszcze w dzieciństwie. Zawsze odczuwałem rodzaj moralnego zobowiązania, żeby nie dopuścić do jej zapomnienia. Obawiam się też, że może już nie być nikogo, kto czułby potrzebę i byłby w stanie ją opisać Dyskusja nt. Jedwabnego, które leży niezbyt daleko od miejsca opisanego przeze mnie zdarzenia, obudziła we mnie zarówno wspomnienie ofiary państwa Balńskich, jak i potrzebę jej upamiętnienia. Z uczuciem ulgi składam tę historię do najlepszego z możliwych w tym przypadku depozytu, tj. do Komitetu dla Upamiętnienia Polaków Ratujących Żydów.

Z wyrazami szacunku

Seroka

Dr inż. Stanisław Seroka